

Rozdział ósmy

Ciężki dzień przeżywał telewizyjny gość, kiedy w jego domu szlachtowano świnie. Świniobicie przypadało zawsze na ostatnią sobotę przed Bożym Narodzeniem. W kalendarzu był to taki dzień ni pies ni wydra, na pół powszedni, na pół świąteczny i dokładnie tak samo jak niedziela nie należał do nowych czasów. Postęp i związane z nim uczucie ściskania w dołku, strach, wysyłano na kilkugodzinny urlop. Dzień świniobicia, o ile został dobrze wykorzystany, mógł stać się dla telewizyjnego gościa dniem szczęśliwym.

Skoro świt rzeźnik i jego pomocnicy, wśród nich mój ojciec, wrywali świnie ze snu. Wcześniej obudzony nadziejami związanymi z dniem świniobicia musiałem wypełznąć pod kołdrę, jeśli nie chciałem słyszeć jej kwiku. Często wprowadzałem świnie na pastwisko. W czasie karmienia wchodziła przednimi nogami do koryta, z którego żarła. Przy tym spod jej oklapniętych uszu pobłyskiwały oczy. Zawsze była strasznie płochliwa: jeden delikatny dotyk i wszystko w niej wzdrygało się z głośnym chrząknięciem. Czasami ciężko posapu-

jąc leżała zakopana w słomie. Od tej chwili świnia nie miała już nigdy więcej spać, żreć ani wychodzić na przechadzkę. Jeszcze żyła, ale już w zasadzie była „kaput”, jak mawiał dziadek. Niesamowite, jak wokół człowieka znikwały i przemijały rzeczy, zaledwie zdążył się z nimi oswoić. Chwilę później: jeszcze tylko otwarte drzwi do chlewika, jeszcze tylko wystygła słoma, a na kupie gnoju sterta parujących jelit, na którą rzucały się skrzeczące sroki. Jak wolno mijał czas, lecz jakże szybko upłynął!

Wprawdzie pod kołdrą nic nie docierało do moich uszu, lecz cały obraz napierał na mnie wyraźnie scena po scenie: jak o jasnofioletowym brzasku poranka wleczono zwierzę wśród śnieżnej kurzawy; jak dwóch opatulonych mężczyzn przysłaniało mu oczy i uszy wiklinowym koszem, by się nie wyrывało w drodze na śmierć; jak trzeci mężczyzna szarpał je na postronku przywiązany do przedniej nogi; i widziałem także czwartego mężczyznę, mojego ojca, który żelaznym uściskiem schowanej w rękawicy pięści ciągnął świnie za ogon, okręciwszy go sobie wokół dłoni. Wystarczyło być świadkiem czegoś takiego jeden jedyny raz, już choćby nawet z głupiej ciekawości, żeby w przyszłości zawsze mieć przed oczyma ten widok. Pod wpływem męczarni, jakie wywoływały we mnie te natrętne wizje, zwinąłem się w kłębek w ciemnej jaskini łóżka i wcisnąłem głowę między kolana. Ale wizje, w odróżnieniu od rzeczy, nie chciały mnie opuścić. Może była to klątwa niezłomnego, aż nazbyt dobrze wyćwiczonego tropiciela obrazów! Z czasem odnajdywał je po omacku nawet tam, gdzie z powodu nocnych ciemności zupełnie nic nie było widać; a może to obrazy odnajdywały jego?

Około południa zjawiał się w domu urzędnik, kontrolujący mięso, wsuwał kawałek zabitej świnii pod swój mikro-

skop i stwierdzał, że zwierzę było całkowicie zdrowe. Wlewał kilka szklaneczek wódki w swoją skierowaną wprost ku sufitowi gardziel i niebawem zataczając się wychodził na podwórko, by na obu zwisających jak długie z belki przy ścianie połówkach świni, z których skapywała krew zmieszana z wodą, odcisnąć swój stempel poświadczający zdatność do spożycia. Przez pewien czas trzymałem straż nad półtuszkami, by chronić je przed psami, kotami i ptakami, które czyhały ustawione w półkołu. W prawej dłoni, przeznaczonych do ciskania, trzymałem śnieżkę grożąc im, lewą jednak wyrzucałem w kierunku tej gromadki raz po raz niemal niewidocznym ruchem skrawki tłuszczu albo mięsa; obfite dary tego dnia należało bowiem rozdzielić między wszystkich, nie tylko pomiędzy ludzi.

Poza tym nie miałem przy świniobiciu nic więcej do roboty. Rodzice i dziadkowie nigdy nie wymagali ode mnie pomocy przy tym krwawym zajęciu. Także w trakcie roku oszczędzano mi niektórych zajęć. Wprawdzie do moich obowiązków należało jeszcze zrywanie owoców w naszym ogrodzie oraz towarzyszenie dorosłym podczas sianokosów i zbiorów potrawu, a także karmienie zwierząt w pomieszczeniach dla nich przeznaczonych i czyszczenie tychże pomieszczeń. Nie musiałem jednak sadzić drzew owocowych, pielęgnować ich i ścinać, kosić łąki przy pomocy kosy, czy odrąbywać toporkiem głowy kurze, która skrzecząc błagała o darowanie jej życia.

– To nigdy nie będzie mu potrzebne – niech się uczy! – wołali jednym chórem, zuchwale odrzucając do tyłu głowy.

W porze, kiedy zwykle pijano kawę, rzeźnik zajmował miejsce przy stole w kuchni dziadków, by rozebrać na części swoją maszynkę do zabijania, naoliwić ją i ponownie zło-

żyć, by była gotowa do następnego strzału. Urządzenie zupełnie nie przypominało broni, lecz pompkę rowerową. Po wypolerowaniu go szmatką rzeźnik nacisnął kilka razy na próbę spust, nie załadowawszy śmiertelnościanego pocisku.

– Taak! – stwierdził.

Nasz rzeźnik miał na imię Eugeniusz, ale niemal wszyscy wołali na niego Gieniu. Kiedy opuszczając nas wieczorem schodził w dół wiejskim gościńcem, słychać było jeszcze jakiś czas hałasujące w jego plecaku rzeźnicze narzędzia. Wtedy znów widziałem je wyraźnie przed moimi oczyma: noże, skrobaki, haki – wszystkie bez cienia rdzy i matowe; ciche, niepozorne rzeczy, po których wprawdzie nie było widać nic z przemocy, jaką zadawały, które jednak potrafiły niezłe hałasować. Przy kuchennym stole moich dziadków Gieniu sam z siebie donosił, szczelnie wypełniającym pomieszczenie głosem kaznodziei wychwalał świnie.

– Jest silna jak koń, przebiegła niczym lis i uparta jak człowiek – mówił. – W biedzie potrafi się wyżywić korą z drzew, popiołem i zdechłymi kotami. Zęby jak u mechanicznej piły! Nawet najgorsze gówno potrafi zamienić w smaczne, delikatne różowe mięso. To prawdziwy talent od Boga! Dar niebios!

Jednak Gieniu nie omieszkiał również wymienić hańby, jaka ostatecznie miała się stać udziałem świni: zostanie owinięta we własne kiszki, zanim pochłonie ją wszystkożerny człowiek. Co za los! Choć zabijak na pociski – to zbawienie dla każdej świni. Jak wspaniale wykonywał swoją robotę: szybko, czysto i po krzyku!

Od wczesnego popołudnia przychodzili do nas goście, zarówno proszeni jak i nieproszeni, a każdy z istic wilczym apetytem. Także ciotka Irmtraud z pobliskiego powiatowego miasteczka odwiedzała nas co roku w ten jeden jedyny

dzień. Pachniała perfumami, co zbijało z tropu siedzącego przy stole i sprawdzającego swą broń rzeźnika; odkąd była z nami ciotka, coraz głośniej świszcząc, oddychał przez nos. Potem ukontentowana ciotka Irmtraud podchodziła do pieca i przesalała właśnie doprawioną do smaku kapustę mojej babki. Raz pośliznąwszy się na wysmarowanej tłuszczem podłodze zwichnęła sobie nogę w kostce. Jęcząc upadła na fotel dziadka, odsłoniła nogę i wyciągnęła ją przed siebie tak daleko, jakby już nigdy więcej nie chciała z nią mieć do czynienia. Rzeźnik zbadał nogę ciotki Irmtraud i zalecił zimne okłady. Inni zachęcali Gienia do przeprowadzenia bardziej krwawego zabiegu. Śmiali się, choć im się przy tym odbijało. Wszyscy siedzieli wyraźnie jakby bliżej siebie i ocierali się o siebie nawzajem. Ludzie pocili się, lecz także przedmioty zdawały w ten wyjątkowy dzień pocić się na swój sposób.

Miskę z kiszoną kapustą, z której moja babka jak co roku wyławiała woniejącą moczem świńską nerkę, kładąc mi ją następnie na talerzu, raz po raz opróżniano do samego dna. Drugą nerkę zjadał na obiad mój ojciec. Z tego wywiodem następujący wniosek: świnia ma dwie nerki, jedną dla ojca, drugą dla syna. Dziwić mogłem się jedynie wciąż na nowo, że te nerki miały taki sam kolor jak budyń czekoladowy, choć należało je zjadać z dużą ilością soli i jeszcze większą porcją chleba.

Po gotowanym mięsiwie, świeżej kaszance i pasztetowej, wszyscy goście pili kawę oraz wódkę. Niektórzy życzyli sobie także wina. Na stole paliło się coraz więcej świec. W ich płomykach trzeszczał tłuszcz, gęsto nasączający kuchenne powietrze i osadzający się dosłownie wszędzie – na meblach, na kafelkach, na podłogowych deskach – tworząc matowo połyskującą powłokę. Dym tytoniowy kłębił się pod su-

fitem w skąym świetle zimowego południa. Zapachowi, który do momentu, gdy zaczęto palić, zabijał wszystkie inne wonie, moja babka nadawała romantyczną nazwę „kardamon”, przez co pomieszczenie w jednej chwili stawało się jakby jaśniejsze. Siedzący wokół stołu śpiewali:

*Jakże pięknie się rymuje:
mięsiwo i piwo,
i jeszcze lepiej pasuje:
golonka i wędzonka,
a do tego pół kielonka.*

Dzień świniobicia był jak coraz szybciej kręcąca się wkoło karuzela. Z oparów, wydobywających się z kociołka na mięso, gęstych i lepkich jak mgła w naszej dolinie (osadzająca się nie tylko w zimie na piersiach i powiekach), wyłaniały się twarze i kończyny, by zaraz potem ponownie w nich zniknąć. W oparach tych człowiek mógł znajdować się wszędzie, a zarazem nigdzie. Najwyraźniej doceniano to na dole w gospodarczej kuchni, w której gotowano mięso. Ochoczo pograżały się w nich także dziewczyny z sąsiedztwa. Dlatego nigdy nie można było dokładnie wiedzieć, która z nich właśnie wrzasnęła z przerażenia, a która wydała z siebie okrzyk radości, gdy zimna, mokra, czerwona i obrzmiała ręka jednego z czeladników rzeźnika zawędrowała pomiędzy jej uda; lecz kto dobrze patrzył, ten widział aż nazbyt wiele. Te przepychanki kończyły się dopiero wtedy, gdy do środka parującego obłoku jakiś mocno jeszcze niedojrzały głos krzyczał:

– Uwaga! Pastor idzie!

Był to niezawodnie głos telewizyjnego gościa. W okamgnieniu wymiatał z powrotu do kuchni wszystkie dziewczęta, które chciały mi udaremnić moją koncentrację. „Koncen-tra-cja”, rozkazujące, magiczne słowo mego ojca, ale

także nowych czasów, słowo, które także telewizyjny gość często powtarzał sobie w rytm wystukiwany przez ojca. Gdy tylko rzeźnik wracał z przerwy na kawę, następowały mianowicie najważniejsze chwile całego dnia: Należało poroznosić we wsi wywar, w którym gotowały się kielbasy. Tylko ubodzy i najubożsi w całej wsi otrzymywali porcję tego szarobrazowego, tłustego odwaru, który teraz wypełniał po brzegi kocioł. Wcześniej, zanim ugotowano w nim kielbasy i kaszanki, nie był jednak niczym innym jak tylko rzadką, przezroczystą wodą z kranu. W tym rosole pływały też ryj, ogon i uszy świni, wynurzając się na przemian, kiedy rzeźnik mieszał w nim kijem.

Dziadek, którego widok tłuszczu napawał obrzydzeniem, nazywał tę zupę „jednookim rosołem”, jako że oka na jej powierzchni niemal nie dały się od siebie odróżnić, zlewając się w jedno wielkie tłuste ślepie. Z filiżanki tego rosółu po rozcieńczeniu wodą uzyskiwało się jeszcze co najmniej dwa bądź trzy talerze pożywnej, mętnej zupy. Rzeźnik ostrożnie nalewał jednookiego do nakrapianej na niebiesko i czarno, emaliowanej kanki z drewnianym uchwytem, służącej w ciągu roku zwykle do noszenia mleka. Uważał, by przy napełnianiu nie uронić ani jednej kropli, a mnie niekiedy zdawało się nawet, że szeptał przy tym słowa pozdrowień, dobrych życzeń i błogosławieństwa dla odbiorców. Po kryjomu przyłączałem się do tych jego życzeń pomyślności i błogosławieństwa. Tak samo uroczyście rzeźnik dodawał przyprawy do zmielonego na kielbasy mięsa. Robił to na krótko przed ich ostatecznym doprowadzeniem gałką muszkatołową i pieprzem. Wtedy nakazywał nam wszystkim, byśmy do niego podeszli, z uroczystą powagą wsadzał swój wskazujący palec do zimnej, mazistej mięsnej brei, wyciągał go oblepionego farszem i przykładał

pierwszemu w kolejce do ust. Powtarzał to tak długo, aż wszyscy skosztowali i wyrazili swój sąd; nikt nie wzdragał się przy tym przed oblizywaniem przechodzącego z ust do ust, wciąż tego samego palca rzeźnika.

W naszej rodzinie każdy dorosły miał prawo wyznaczyć ilość osób, którym należało zanieść do domu po kance z rosołem. Mnie to prawo nie przysługiwało, ponieważ brakowało mi jeszcze, jak to określali, nieodzownego poczucia odpowiedzialności, lecz mimo to byłem uprawniony do składania propozycji. W ramach rekompensaty za tę mało znaczącą rolę wolno mi było na własnych nogach roznosić po wsi kielbasianą zupę. Do późnego wieczora musiałem zrobić dwadzieścia albo i więcej kursów. Ojciec wysyłał mnie z kanką do ludzi z jego oddziału straży pożarnej. Babka obdarowywała swoje współtowarzyszki spotkań modlitewnych. A mój dziadek co roku przypominał sobie o tych, o których zapomniał cały świat: o karłowatej Katarzynie od zegarków i jej wiecznie jękającej się siostrze Emilii, zapominającej o jękaniu tylko podczas śpiewania, a także o starym Kueferze, który nie odezwał się ani jednym słowem, odkąd jego syn umarł z głodu w obozie jenieckim. Dziadek liczył, że przekupiony litrem jednookiego Kuefer ponownie przemówi.

Moja matka na drugim planie czuwała, by przy roznoszeniu zupy nikogo nie skrzywdzić. Niektóre porcje, obojętnie dla kogo miały być przeznaczone, nalewano jednak w tak ślimaczym tempie i jakby specjalnie nie trafiając przy tym do kaniki, że stawało się to wprost podejrzane. Można było wyczuć, że nikt z obecnych za nic na świecie nie chce zdradzić, kto we wsi jest drogi jego sercu, a kto jeszcze droższy. Także inni prowadzili więc w myślach i w sercu swe nieme rankin-gowe listy.

Jednak ostateczna decyzja co do tego, komu zostanie się jednooki rosół, należała do mnie. Gdyż wyłącznie ja przemierzałem ulice z kanką zupy, za którą ciągnął się obłoczek powiewającej niczym chorągiew gorącej pary. Nikt nie sprawdzał, komu zanosilem zupę, a komu nie. Widocznie akurat w kwestii tej jednej jedynej czynności mnie, telewizyjnego włóczęgę, darzono zaufaniem. Również nikt we wsi nie mógł się poskarżyć, jeśli wywar do niego nie dotarł – bo przecież nikt nie wiedział, czy ma prawo go oczekiwać Przybywał jedynie jako prezent. Jednak gdyby rodzice lub dziadkowie wypytывali nieco tu i ówdzie, czy zupa smakowała i gdyby się okazało, że nie wszędzie dotarła, wówczas musiałbym powołać się na moją słabą pamięć lub na to, iż potknąłem się na śniegu i na lodzie, ulewając nieco z bańki. Mój udział w bitwie na śnieżki lepiej było przemilczeć, gdyż raz podczas takiej bitwy wytracono mi kankę z ręki. Wszyscy śmiali się do rozpuku. Jedynie mnie najpierw zdziwiło, a później przeraziło, z jaką prędkością gorący jeszcze, płynny tłuszcz wyżerał w białej, śnieżnej pokrywie żółtą dziurę. Od tego czasu już lepiej pilnowałem naczynia. Na czas bitwy na śnieżki ustawiałem je za drzewem lub za stosem drewna, gdzie dodatkowo chronił go podtrzymujący ze wszystkich stron wał, usypany ze śniegu i odłamków lodu – w najgorszym wypadku rosół mógł co najwyżej wystygnać. Wiedziałem, że w tej twierdzy będzie bezpieczny. Lecz nawet w największym zgiełku z daleka czułem, że kanka wraz z jej zawartością dodawała mi siłę, nawet jeżeli niczego z niej nie skosztowałem. Lepiłem śnieżki twardsze niż zwykle i także mocniej nimi rzucałem; umykałem atakującym mnie śnieżnym pociskom wroga znacznie zwinniej i z większą dozą elegancji. Łatwiej mi było znieść nawet te najbardziej bolesne ciosy.

Jednak kanka darowała mi przede wszystkim czas. Pozwalała mi się ociągać, kiedy ściszałem ją w dłoni lub ciągnąłem za sobą i nigdy nie musiałem gnać na złamanie karku, a mimo to zawsze docierałem punktualnie co do minuty. Gdyż tam, dokąd zmierzałem, nierzadko czekały na mnie telewizory; „czekały” i „na mnie” – w tym przypadku były to najbardziej stosowne słowa. Telewizor na gościnnych występach, trzymający w ręku kankę z kielbasianą zupą, nie mógł być przecież odprawiony z kwitkiem. Bańka mówiła więcej niż wszystkie żebracze litanie. Wystarczyło ją pokazać albo zakłócić ją przed wężącym nosem. Jedynie w niewielu wypadkach należało jeszcze napomknąć obdarowanemu, jak ciężko było przekonać domowników, że to właśnie on powinien otrzymać wywar. Tłusty rosół wyjednywał zgodę nawet najbardziej opornego telewizyjnego gospodarza. Z reguły już na progu serdecznie witano amatora cudzego telewizora. Wtajemniczeni niezwłocznie dawali mu do zrozumienia, że pragną spełnić jego życzenie. Tego dnia wszyscy byli przygotowani i nastawieni wyłącznie na niego. Nawet córki gospodarza, które kiedyś pobiły i podrapały go popsutym suwakiem, uśmiechnęły się do niego na przywitanie. A ci spośród tych, których wprawdzie nigdy nie odwiedzał, teraz jednak zamierzał wystawić na próbę, pewnie już wcześniej zebrali odpowiednie informacje, dobrze bowiem znali jego życzenie.

Bez słowa i z ledwo zauważalnym mrugnięciem powiek zapraszano telewizyjnego gościa, mimo jego przemoczonych butów, wprost przed odbiornik. Wolno mu było zająć miejsce w najlepszym fotelu i podczas gdy w cieple pokoju z jego butów powoli skapywały krople, chwalono go za to, że jest taki miły i grzeczny, że tak pięknie siedzi w swoich zimowych narciarskich spodniach, założywszy jedną nogę na

drugą i tak wytwornie podąża za telewizyjnym obrazem. Aparat pełnił swą powinność od momentu, gdy tylko stawiałem w progu. Teraz zabawiał mnie kilkoma obrazami, scenami i dźwiękami: skok z chmur, pościg, czarny koń, przemawiający kopytami, strzelanina lub bitwa na noże; ponieważ także telewizyjny gość chętnie przyglądał się ludzkiemu zabijaniu bądź umieraniu, przede wszystkim wówczas, gdy czuł się tak bardzo silny i niewzruszony jak w dniu świętowania.

Wkrótce jednak znów musiał ruszać w drogę, gdyż w kotłowni w domu było jeszcze mnóstwo jednookiego rosółu. Już za drzwiami po raz ostatni obiecał wrócić i zostać dłużej – tego dnia widocznie cały świat pragnął to usłyszeć z jego ust. W ten sposób udało mu się pozyskać wielu nowych telegospodarzy, a lista rankingowa w jego głowie zdumiewająco – albo też zwodniczo – się wydłużała. Czy zawarte dzisiaj paktów przetrwają jednak na dłużej? Aż do Bożego Narodzenia albo i do Nowego Roku? Już na ulicy telewizyjny gość dla potwierdzenia tych słów dwukrotnie grzmotnął pustą bańką z takim impetem w rynnę, że przez spokojny dom telegospodarzy przetoczył się aż pod gzyms blaszany brzęk, który następnie wyleciał kominem. Brzęk rozległ się jednak nie tylko w domu, lecz także we wsi i natychmiast gdzieś zaczął szczekać pies, potem zawtórował mu inny i wkrótce szczekanie dochodziło ze wszystkich stron świata, na co koguty zaczęły pisać o całym świecie niewłaściwej porze, a bydło w stajniach ryczało, jakby domagało się dojenia. A wszystko za sprawą amatora telewizji i jego radości, ogłaszanej całemu światu brzękiem bańki.

Przeważnie dokładnie trzymałem się listy obdarowywanych, ustalonej u mnie w domu. Nikogo nie skreślano, jeśli

można było tego uniknąć. Ale dlaczego choć trochę tej szarobrazowej breji mieli otrzymać Heilmannowie, ojciec i syn? Przecież ani nie uważałem ich za biedaków ani też nie zabraniali mi oglądać u siebie telewizji. Kogo jednak raz przesunąłem na koniec mojej rankingowej listy, ten musiał nauczyć się, znanej również i mnie, lekcji z potrójnego przedmiotu: czekania, cierpliwego wyczekiwania i smażenia się w piekle. Osoba ta doczekałaby się swojej kolejki prawdopodobnie dopiero wówczas, gdy kocioł byłby już całkiem pusty, czego nikt nie żałował bardziej niż nasz rzeźnik Gieniu, który teraz musiał ostatecznie zakończyć albo przesunąć na inny termin swą misję uszczęśliwiania ludzi przy pomocy wieprzowiny.

Wszystko wzbraniało się we mnie również przed zanieśieniem jednookiego rosołu Flammowi, najbardziej wiarygodnemu spośród wszystkich moich telegospodarzy. Moja matka przyznała mu miejsce na naszej liście uzasadniając to tym, iż znów był bezrobotny; ja jednak znałem go także jako bezużytecznego leniucha, wylegującego się w łóżku. Tylko przez własne niedbalstwo Flamm pozbawił się radości przelania z mojej kanki do swojej miski gorącej, oleistej breji, która rozbłyskując powoli szeroko otwierała swe jedno jedyne rosołowe oko. Flamm nie musiał mi za to dawać, jak to się zdarzało w innych domach, ani pięćdziesięciofenigówki, ani kawałka ciasta. Tak samo zbędne byłoby, gdyby jego żona w podzięcie uklękała przede mną i pocałowała mnie.

Do niczego nie potrzebowałem również pachnącego różami płynu, jakim skrapiali mnie gastarbeiterzy z tartaczego baraku, gdy podsuwałem im pod nos mój wywar. Na płaskim dachu ponad ich głowami wyrosła tymczasem druga, a nawet trzecia telewizyjna antena i nadszedł czas, by wreszcie

zajść także do nich, chociaż nie znałem nawet imienia żadnego z nich. We wsi mówiono, że modlili się na klęczkach, dotykając czołem ziemi; podobno w modlitwie zwracali się wyłącznie na wschód, a więc w kierunku, napawającym nas strachem. Lecz amatorowi telewizji nie wolno było odczuwać lęku przed obcymi. Musiał od czasu do czasu podążać nowymi ścieżkami. Dźwigając w wyciągniętej ręce jednooki rosół można było się na to odważyć. Lecz z jakim wraskiem, z jakim złośliwym śmiechem ci niemal czarnoskórzy mężczyźni o spiczastych bródkach odmówili przyjęcia jego parującej kielbasianej zupy! Wypchnęli go za drzwi razem z jego kanką i spryskali perfumami, pewnie na pociechę za tak niełaskawe przyjęcie. Nie zrozumiał ani jednego słowa z ich cudzoziemskiego języka, choć przez chwilę odniósł wrażenie, jakby to był jego własny język tyle tylko, że słowa wypowiadane były od końca.

W przypadku Flamma amator telewizji zadowoliliby się już tylko tym, że małżonkowie spojrzeliby nań przenikliwie i zdecydowanym skinięciem głowy przekonująco zapewniliby go o swej nieustannej gotowości podejmowania go w charakterze telegospodarzy; bowiem takimi ludźmi najchętniej zapełniał on swoją listę telewizyjnych dobroczyńców.

Jednooki rosół, w zamian za który Flamm i jego żona musieli obejść się smakiem, zaniósłem dwa domy dalej do wdowy po weteranie wojennym, pani Nieder, której właściwie nie wolno było spożywać kielbasianej zupy, ponieważ była chora. Cierpiała na tak zwane kolki i czasem aż na ulicy słyszać było, jak leżąc w łóżku krzyczała z bólu. Potem, gdy atak minął, siedziała skurczona, blada i pożółkła przed domem w swym ogródku z kwiatami, grzała się w słońcu i moczyła nogi w misce z wodą. Pani Nieder należała we wsi do